



o Jacku Kaczmarским

GDAŃSK - KIELCE - GDAŃSK

Nawet teraz, niemal rok od jego śmierci, co rusz wracają te same pytania. Pytania, które rozsadzały głowę 10 kwietnia, w Wielką Sobotę, kiedy kilka minut przed dziewiętnastą usłyszałem w słuchawce rozedrgany płacz Alicji. Pytania, które dwa tygodnie później zadawał sobie każdy z nas, stojących przed bramą Cmentarza Powązkowskiego. Również dziś nie jesteśmy w stanie określić do końca wagi tej przedwczesnej śmierci. Śmierci, która zabrała Kosmopolaka.

Teraz, kiedy o nim myślę, nie potrafię w żaden, najprostszy nawet sposób, nazwać tego, co czułem rozmawiając z nim o świecie. O poezji, kobietach, wódce, życiu. Nie potrafię opowiedzieć o ciarkach przebiegających po plecach, kiedy wychodził na scenę Kieleckiego Centrum Kultury czy Pałacyku Zielińskiego i padały pierwsze takty „Epitafium...”. Hoduję więc obrazy i daty.

„Szedłem gdzieś, nie wiem gdzie, kiedy pochwycili mnie...”

Jesień 1999. Organizujemy koncert w KCK. Kilka dni wcześniej zgłasza się wychowawca z więzienia na kieleckich Piaskach. „Czy Kaczmarский zgodzi się zagrać u nas za darmo?”

Jedziemy na Piaski. Na portierni zostawiamy telefony komórkowe, dowody osobiste i poczucie bezpieczeństwa. Odzywają się dzwonki, szcękają kraty, słychać przytłumiony stukot butów i coś jeszcze, co potem okaże się brzękiem kluczy. Na widowni 150 osób.

Koncert dobiega końca; jeden z wychowawców zaprasza nas do pokoju na herbatę i papierosa. Po chwili w towarzystwie innego wychowawcy wchodzi jeden z więźniów - trzydziestokilkuletni przystojny mężczyzna o rozbieganym spojrzeniu, dźwiga pod pachą wielką i mocno już zdezelowaną gitarę. Podaje ją, prosi o podpis. Jacek podpisuje, wyciąga w stronę osadzonego otwartą paczkę papierosów: „Poczęstuj się”. Mężczyzna błagalnym spojrzeniem żebrze u wychowawcy o zgodę: „Możesz”. Drżącą ręką wyciąga papierosa z paczki i wkłada do kieszeni. Na pamiątkę. I oto dzieje się rzecz, której nikt z nas na razie jeszcze nie rozumie. Więzień zdejmuje z palca ślubną obrączkę. Uzgadnia z żoną, że ofiarują ją Jackowi. Od wielu lat słuchają jego piosenek. Tylko. Żona jest kilkadziesiąt metrów stąd - w celi na oddziale żeńskim. Nie otrzymała zgody na wysłuchanie koncertu. Kaczmarский wyciąga rękę w geście pożegnania, ale więzień nie odwzajemnia gestu: „Nie wolno mi”. Jacek omiata wzrokiem najpierw pokój, potem wychowawców, a na końcu nas tym swoim, jak sam je kiedyś nazwał, skurwysyńsko smutnym spojrzeniem i mocno, po męsku, ścisła dłoń skazanego.

„Muszkietierowie już nie ci sami - dojrzałości późółki goryczą”

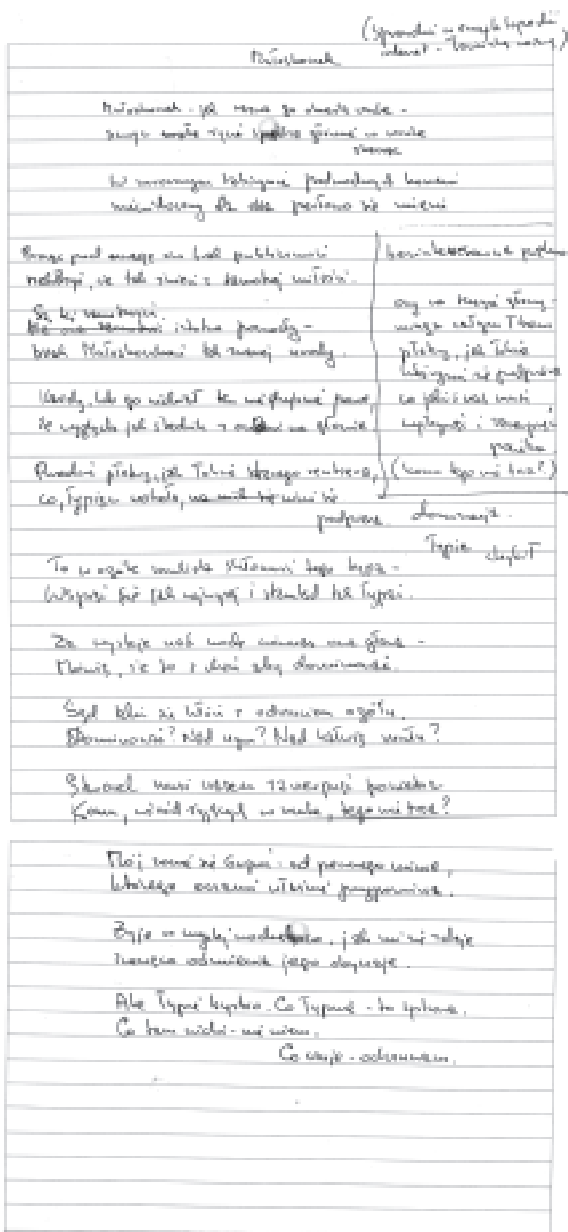
Sierpień 2001. Amfiteatr sopocki, II Przegląd Piosenki Prawdziwej. Stoimy obok sceny, wykorzystując wolną chwilę rozmawiamy z Jackiem. A wolnych chwil ma dziś niewiele; przypadła mu w udziale opieka artystyczna nad przeglądem, ciągle gdzieś biega i coś załatwia. Start za pół godziny; ma wystąpić kilkudziesięciu wykonawców z całej Polski. Jacek Kaczmarский również. Zaśpiewa piosenkę napisaną z okazji XX rocznicy powstania „Solidarności”

- „Muszkietierowie 20 lat później”. Przerwywamy rozmowę, głośno daje znać o swoim istnieniu telefon Irka Bugajskiego. Dzwoni siostrzeniec, usłyszał przed chwilą w „Teleexpressie”, że NSZZ „Solidarność” wycofała się z patronatu nad przeglądem ze względu na kilka piosenek, które mają dziś zostać wykonane, a które „godzą w polską rację stanu”. Chodzi między innymi o „Muszkietierów”. Jacek uśmiecha się od ucha do ucha.

„I wstały płomienie ze wszystkich stron naraz”

Gdańsk, styczeń 2002. „Drapie mnie, cholera, w gardle. Jakies przewlekłe zapalenie...”. Odchrząkuje, przetyka odrobinę wody mineralnej. „Przewlekłe zapalenie” ciągnie się już od dobrych dwóch miesięcy, ale lekarze uspokajają. Przepisują syropy i tabletki do ssania. Jeszcze kilka dni i przejdzie. Będzie dobrze. Wydaje się, że się nie mylą; od kilku dni jest nieco lepiej, choć nadal czuje „gulę” w gardle. Musi być lepiej - jutro rano wyjazd do Francji, a pojutrze koncert w Paryżu u ojców palotynów. Ściskamy się na pożegnanie. Alicja z dziewczynkami siedzi już w samochodzie, Jacek odkręca szybę: „Widzimy się w Kielcach. W kwietniu. Na koncercie w KCK. Wykupię chyba miesięczny Gdańsk-Kielce-Gdańsk!”.

Za miesiąc mam się dowiedzieć, że w Kielcach jednak się nie zobaczymy. U palotynów daje cudowny występ. Śpiewa na całe gardło.



Rękopis jednego z tekstów Jacka Kaczmarskiego

„Nawet drzewa próchnieją przedwcześnie, a przecież istnieją - bezgrzesznie”

Gdańsk, 22 marca 2002, 45 urodziny Jacka. Jest wychudzony, od wielu tygodni skurczone gardło nie pozwala śpiewać, nie pozwala też przełknąć łyżki zupy, grama chleba. Pozwala cicho mówić. Alicja wstawia do lodówki tort urodzinowy. Za dwie godziny, ryjąc „Sto lat”, wniesiemy ten tort do salonu, a Jacek zdmuchnie świeczki.

- Wypadałoby coś gościom zaśpiewać! Alusiu, podaj gitarę. Zresztą nie... Może innym razem.

Dwa dni przed urodzinami Jacek Kaczmarski odbiera wyniki badań lekarskich. Ma raka przetyku.

„A śpiewak także był sam...”

Kielce, 18 kwietnia 2002, KCK. Dochodzi 18.00, duża sala wypełniona po brzegi publiką. Kilka miesięcy wcześniej planujemy dokładnie na ten dzień i godzinę koncert Jacka. Miał zaśpiewać najnowszy program pt. „Mimochodem”. Nie ma go dziś z nami. Nie zaśpiewa. Zaśpiewa za to Wolna Grupa Bukowina, Przemysław Gintrowski, Jacek Kleyff, Ela Adamiak i Andrzej Poniedziałki. Koncert poprowadzi Piotr Bałtroczyk. Wszyscy zgodzili się wystąpić nieodpłatnie, by wesprzeć leczenie „Kaczmaru”. Do koncertu pozostała godzina; biegamy z Irkiem od garderoby do garderoby, chcąc zwrócić artystom koszty przyjazdu do Kielc. Odmawiają. Za każdym razem ta sama odpowiedź: „Dajcie to lepiej Jackowi”. Gdzieś na korytarzu wpadam na Bałtroczyka. To samo. „Gdyby spotkało to mnie, a nie jego - byłby tu dziś. Znam Kaczmaru. Przyjechałby za darmo i zagrał. Dla mnie”.

Ruszamy. Najpierw Poniedziałki, za chwilę Gintrowski. Kończy „Murami”. Publiczność dziękuje mu za występ, powoli uchajają brawa, lecz artysta nie wstaje z krzesła. Milczy. Zaniepokojony wyglądam zza kulis i dopiero po chwili dostrzegam wielkie łzy spływające po jego twarzy. Wstaje. „Państwa obecność tu, w Kieleckim Centrum Kultury, świadczy o tym, że śpiewak nie jest sam! Że Jacek pokona chorobę!”. Próbuję z nim porozmawiać, wesprzeć, ale zamyka się w garderobie.

Ten wieczór w KCK jest pierwszym w Polsce koncertem charytatywnym na rzecz Jacka Kaczmarskiego.

„Teraz, kiedy leżysz w czóźnie pod całunem - wszelka rozmowa jest już niemożliwa...”

Kielce, 10 kwietnia 2004 - Wielka Sobota, godz. 18.40. Siedzę w fotelu i słucham „Rublowa”. Nie mogę się do końca skupić na tekście; przed południem dwukrotnie rozmawiałem z Alicją i jej strach udziela mi się coraz bardziej. Krwotoki z rurki tracheostomijnej wciąż się nasilają; w nocy Jacka zabrało pogotowie, lekarze mówią, że stan jest bardzo ciężki. Ale mówią tak nie po raz pierwszy. Straszili już kilka razy, straszą i teraz. Na pewno z tego wyjdzie. Uświadamiam sobie, że już od dawna normalnie nie rozmawialiśmy. Ostatnio chyba w Sylwestra...? Zatykając palcem otwór w szyi, opowiadał jakiś sprośny dowcip. Tak, to było w Sylwestra. Mówił z ogromnym wysiłkiem, ale mówił, a teraz porozumiewa się z Alą pisząc na kartkach... „Alu, to były piękne dwa lata”. „Gdyby nie ty - już by mnie nie było”.

Słucham „Rublowa”, palę papierosa i myślę o jego koncertach na Kielecczyźnie; o tym w małej sali KCK, kiedy śpiewał z trzydziesto-dziewięciostopniową gorączką i o tym u Leszka Trębacza w Ciekotach tuż przed wyjazdem do Australii, o tym w Pałacyku Zielińskiego, gdy historyczna wielbicielka wdarła mu się do garderoby i o tym ostatnim przed ujawnieniem się choroby, w WDK.

Dochodzi dwudziesta, palę papierosa, słucham „Rublowa”. Dzwoni telefon. Początkowo nie mogę zrozumieć, w końcu wychytuję pojedyncze słowa:

„Jacek odszedł... We śnie... Ale zawsze z nami będzie, prawda, w nas, prawda!?” „Prawda, Alu”.

Robert Siwiec